JOHN GRISHAM

SAMOTNY WILK

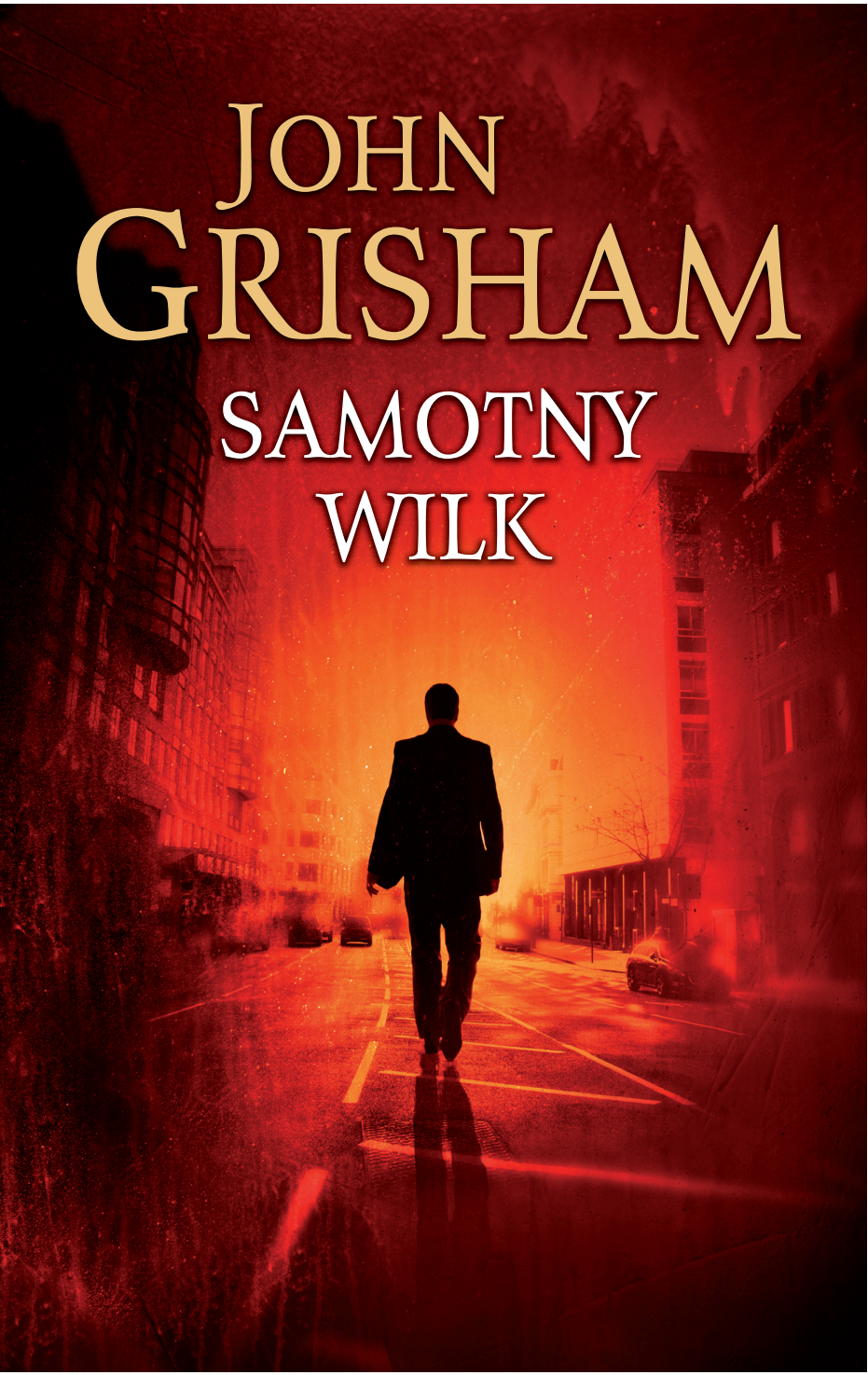

1

Nazywam się Sebastian Rudd i choć jestem znanym adwokatem ulicy, nie zobaczycie mojego nazwiska na billboardach, przystankach autobusowych ani w branżowym wykazie firm i instytucji. Nie płacę za to, żeby pokazywano mnie w telewizji, choć jestem tam częstym gościem. Moje nazwisko nie figuruje w żadnej książce telefonicznej. Nie prowadzę tradycyjnego biura. Legalnie noszę broń, ponieważ moje nazwisko i twarz ściągają uwagę ludzi, którzy również noszą broń i nie wahają się jej używać. Mieszkam sam, zwykle również sam sypiam, brak mi cierpliwości i wyrozumiałości potrzebnych do podtrzymywania przyjaźni. Prawo to moje życie – pochłania całą moją energię i – czasami – daje satysfakcję. W przeciwieństwie do pewnej zapomnianej osoby nie nazwałbym go „zazdrosną kochanką”*. Przypomina raczej apodyktyczną żonę, która sprawuje kontrolę nad książeczką czekową.

* Słowa Josepha Story, amerykańskiego prawnika, w latach 1811–1845 sędziego Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych.

Człowiek nie może się od niej uwolnić.

Sypiam w tanich motelach, które zmieniam co tydzień. Nie staram się oszczędzać, po prostu próbuję przeżyć. Wielu ludzi chętnie posłałoby mnie do piachu; niektórzy z nich głośno i dobitnie wyrażają swoją opinię. Na studiach prawniczych nie mówią ci, że pewnego dnia być może będziesz bronił człowieka oskarżonego o zbrodnię tak ohydną, że słysząc o niej, spokojni obywatele mają ochotę chwycić za broń i grozić, że zabiją oskarżonego, jego obrońcę i sędziego.

Mnie już grożono. Dla adwokata ulicy, który od dziesięciu lat zajmuje się tym co ja, to normalka.

Kiedy kończyłem studia prawnicze, pracy było jak na lekarstwo. Niechętnie zgodziłem się pracować w niepełnym wymiarze godzin jako obrońca z urzędu. Potem trafiłem do małej, niedochodowej firmy zajmującej się wyłącznie sprawami karnymi. Po kilku latach firma padła, a ja – podobnie jak inni – skończyłem na bruku i walczyłem o przetrwanie.

Jedna sprawa przyniosła mi rozgłos. Nie powiem, że stałem się sławny, bo – bądźmy szczerzy – jak można powiedzieć, że prawnik jest sławny w mieście, w którym mieszka milion ludzi? Wiele miejscowych papug myśli, że są sławne. Modląc się w duchu o to, żebyś zbankrutował, uśmiechają się z billboardów i głęboko zaniepokojeni twoimi krzywdami, zadzierają nosa w reklamach telewizyjnych. Sami płacą za swój rozgłos. Ja nie.

Jak co tydzień zmieniam motel. Jestem w trakcie procesu w posępnej, konserwatywnej mieścinie o nazwie Milo, dwie

godziny drogi od miasta. Bronię upośledzonego umysłowo, osiemnastoletniego wyrzutka oskarżonego o zamordowanie dwóch dziewczynek. To jedna z najokrutniejszych zbrodni, z jakimi miałem do czynienia, a miałem do czynienia z wieloma. Moi klienci są prawie zawsze winni, więc nie tracę czasu na załamywanie rąk i zastanawianie się, czy dostaną to, na co zasługują. Gardy jest jednak niewinny. Nie żeby miało to jakiekolwiek znaczenie, bo nie ma. Dla mieszkańców Milo liczy się to, że sąd uzna go za winnego i skaże na karę śmierci, która zostanie wykonana najszybciej, jak się da, żeby cała mieścina poczuła się lepiej, a życie mogło toczyć się dalej. Tylko dokąd? Słowo honoru, że nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. To miejsce od pięćdziesięciu lat kisi się we własnym sosie i jeden parszywy werdykt niczego tu nie zmieni. Czytałem i słyszałem, że sprawa z Milo potrzebuje „zamknięcia", cokolwiek to znaczy. Trzeba być idiotą, by uwierzyć, że ta mieścina rozkwitnie i stanie się bardziej tolerancyjna po tym, jak na Gardym zostanie wykonana kara śmierci.

Moja praca jest złożona i skomplikowana, a zarazem dość prosta. Państwo płaci mi za to, żebym jak najlepiej bronił oskarżonych o zabójstwa, za które grozi kara śmierci, a to oznacza, że dwoję się i troję, próbując rozpętać piekło w sali sądowej, gdzie nikt mnie nie słucha. W zasadzie Gardy został skazany w dniu, kiedy go aresztowano, a jego proces to czysta formalność. Tępi, zdesperowani gliniarze spreparowali zarzuty i sfabrykowali dowody. Prokurator wie o tym, ale to facet bez kręgosłupa moralnego, który w przyszłym roku będzie się ubiegał o reelekcję. Sędzia śpi. Ławnicy to mili,

prości ludzie, którzy ze zdumieniem obserwują proces i naiwnie wierzą w kłamstwa, którymi karmią ich dumne władze.

W Milo nie brakuje tanich moteli, nie mogę się jednak w nich zatrzymać. Zostałbym zlinczowany, obdarty ze skóry lub spalony na stosie; albo wszystko skończyłoby się jeszcze szybciej, gdyby – przy odrobinie szczęścia – snajper wpakował mi kulkę między oczy. Policja stanowa zapewnia mi ochronę na czas procesu, ale mam wrażenie, że ci kolesie niespecjalnie się do tego przykładają. Postrzegają mnie tak jak większość ludzi. Dla nich jestem długowłosym oszołomem, na tyle chorym, żeby walczyć o prawa dzieciobójców i im podobnych.

Mieszkam w motelu Hampton Inn oddalonym o dwadzieścia pięć minut jazdy od Milo. Kosztuje sześćdziesiąt dolarów za noc i państwo zwróci mi te pieniądze. W pokoju obok mieszka Partner – potężny, uzbrojony po zęby facet, który nosi czarne garnitury i wszędzie mnie wozi. Jest moim szoferem, ochroniarzem, powiernikiem, uczniem, pomagierem i jedynym przyjacielem. Zdobyłem jego lojalność, kiedy ława przysięgłych uznała, że nie jest winny zabójstwa działającego pod przykryciem członka brygady antynarkotykowej. Wyszliśmy razem z sali sądowej i od tamtej pory jesteśmy nierozłączni. Kilka razy gliniarze po służbie próbowali go sprzątnąć. Raz chcieli sprzątnąć mnie.

A jednak wciąż trzymamy się na nogach. Choć może powinienem powiedzieć, że wciąż uchylamy się od kul.

2

O ósmej rano Partner puka do moich drzwi. Czas na nas. Mówimy sobie „Dzień dobry” i wsiadamy do mojego samochodu – dużej czarnej furgonetki Forda, przystosowanej do moich potrzeb. Ponieważ to także moje biuro, tylne siedzenia zostały ustawione wokół przykręconego do ściany małego, składanego stolika. Jest tu też kanapa, na której często spędzam noce. Wszystkie szyby są przyciemniane i kuloodporne. Mamy telewizję, system stereo, internet, lodówkę, barek, kilka sztuk broni i ubrania na zmianę. Siedzimy z przodu i wyjeżdżając z parkingu, rozpakowujemy kupione w fast foodzie bułeczki z kiełbaskami. Przed nami jedzie nieoznakowany samochód policyjny, który eskortuje nas do Milo. Drugi jedzie z tyłu. Ostatni raz grożono mi śmiercią dwa dni temu, a pogróżki wysłano e-mailem.

Partner nie odzywa się nieproszony. Nie ja wymyśliłem tę zasadę, ale ją uwielbiam. Ani jemu, ani mnie nie przeszkadzają długie przerwy w rozmowie. Po latach odzywania się wyłącznie wtedy, kiedy jest to konieczne, nauczyliśmy się porozumiewać za pomocą kiwnięć głową i milczenia. W połowie drogi do Milo otwieram teczkę i zaczynam robić notatki.

Podwójne morderstwo było tak makabryczne, że żaden z miejscowych prawników nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Potem aresztowano Gardy’ego. Wystarczy na niego spojrzeć, by wiedzieć, że jest winny. Długie, farbowane na czarno włosy, zdumiewająca kolekcja kolczyków na twarzy i tatuaży

na reszcie ciała, stalowe kolczyki w uszach, zimne, wyblakłe oczy i uśmieszek, który mówi: „Dobra, zrobiłem to, i co z tego?”. W pierwszym artykule, który pojawił się w lokalnej gazecie, opisywano go jako: „Członka kultu szatana, już wcześniej notowanego za molestowanie dzieci”.

To tyle w kwestii rzetelnego i bezstronnego dziennikarstwa. Gardy nigdy nie był wyznawcą kultu szatana, a sprawa o molestowanie opiera się na samych domysłach. Jednakże od momentu ukazania się artykułu Gardy był winny i nadal się zastanawiam, jak to się stało, że wciąż żyje. Chcieli go powiesić kilka miesięcy temu.

Nie muszę mówić, że wszyscy prawnicy w Milo pozatrzaskiwali drzwi i powyłączali telefony. W miasteczku nie ma obrońców z urzędu – jest zbyt małe – i nieliczne sprawy, jakie się tu trafiają, są rozdzielane przez sędziego wśród miejscowych adwokatów. Istnieje niepisane prawo, które mówi, że najmłodsi prawnicy w mieście biorą nisko płatne sprawy, bo – po pierwsze – ktoś to musi zrobić, a – po drugie – ich starsi koledzy robili to, gdy byli młodsi. Nikt jednak nie chciał bronić Gardy’ego i, prawdę powiedziawszy, wcale się im nie dziwię. To ich mieścina i ich życie, a kontakty z takim popaprańcem mogłyby poważnie zaszkodzić ich karierze.

Jako społeczeństwo wierzymy, że nawet najgorszy przestępca zasługuje na uczciwy proces, ale są wśród nas tacy, którzy twierdzą, że nie każdy zasługuje na kompetentnego prawnika gwarantującego uczciwość procesu. Często słyszę pytanie: „Jak to jest reprezentować taką szumowinę?”.

„Ktoś musi”, odpowiadam i czym prędzej odchodzę.

Czy rzeczywiście zależy nam na uczciwych procesach? Oczywiście, że nie. Chcemy sprawiedliwości i chcemy jej szybko. A sprawiedliwe jest to, co sami za takie uznajemy.

No i dobrze, że nie wierzymy w sprawiedliwe procesy, bo z całą pewnością takich nie ma. Domniemanie niewinności zastępuje domniemanie winy. Obowiązek dostarczenia dowodów jest parodią, bo dowody to często stek kłamstw. Przekonanie o winie oznacza, że oskarżony dopuścił się zarzucanego mu czynu, więc należy go zapuszkować.

Tak czy siak, prawnicy dali nogę, zostawiając Gardy’ego na pastwę losu. I tak oto dostałem telefon. W kręgach prawnych w tej części stanu mówi się, że jeśli nie możesz znaleźć nikogo innego, dzwonisz do Sebastiana Rudda. On podejmie się obrony każdego!

Kiedy aresztowano Gardy’ego, przed więzieniem zgromadził się tłum, który domagał się sprawiedliwości. Gdy szedł pod policyjną eskortą do furgonetki, która miała go zawieźć pod gmach sądu, ludzie obrzucali go wyzwiskami, pomidorami i kamieniami. Pisano o tym w lokalnej gazecie, a wiadomość pojawiła się nawet w regionalnych wieczornych wiadomościach (w Milo nie ma przyzwoitej sieci telewizyjnej, jest tylko kiepskiej jakości kablówka). Wnosiłem o zmianę miejsca, błagałem sędziego, żeby przeniósł proces co najmniej sto pięćdziesiąt kilometrów od Milo, gdzie – być może – znaleźlibyśmy przysięgłych, którzy nie rzucali czymś w oskarżonego albo nie przeklinali go przy obiedzie. Odmówiono mi jednak. Wszystkie wnioski przedprocesowe zostały odrzucone.

Po raz kolejny miasteczko chce sprawiedliwości. Chce zamknięcia sprawy.

Kiedy wjeżdżamy na krótki podjazd przed budynki sądu, nie czeka na mnie rozwścieczony tłum, ale rozpoznaję znajome twarze. Zbijają się w gromadę za policyjną barykadą i podnoszą tabliczki, które głoszą: „Powiesić dzieciobójcę!”, „Szatan czeka!” i „Rudd, won z Milo!”. Kilkanaście żałosnych dusz czeka tylko, żeby wygwizdać mnie i, przede wszystkim, okazać nienawiść Gardy’emu, który przyjedzie tu za mniej więcej pięć minut. Na początku procesu ten niewielki tłum skupił na sobie uwagę kamer; niektórzy z tych ludzi pojawili się w gazetach, razem ze swoimi tabliczkami. To, oczywiście, zachęciło ich, i od tej pory przychodzą tu co rano. Gruba Susie trzyma tabliczkę „Won z Ruddem!” i wygląda, jakby chciała mnie zastrzelić. Wybuchowy Bob twierdzi, że jest krewnym jednej z dziewczynek, i jego słowa, że „proces to strata czasu”, cytowano w gazecie.

Obawiam się, że w tej kwestii ma akurat rację.

Kiedy furgonetka się zatrzymuje, Partner wyskakuje i podbiega do moich drzwi, gdzie dołącza do niego trzech krzepkich zastępców szeryfa. Wysiadam i idę pod eskortą do tylnych drzwi sądu, podczas gdy Wybuchowy Bob wyzywa mnie od dziwek. Również tym razem udaje mi się bezpiecznie wejść do środka. Nie przypominam sobie, żeby w ostatnim czasie jakiś prawnik został zastrzelony w trakcie procesu, wchodząc do budynku sądu. Niemniej jednak pogodziłem się z myślą, że mogę być tym pierwszym.

Jako jedyni wchodzimy po wąskich schodach i dalej, do małego pokoiku bez okien, w którym niegdyś więźniowie

czekali na spotkanie z sędzią. Gardy dociera na miejsce kilka minut później, cały i zdrowy. Partner wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

– Jak leci? – pytam, kiedy zostajemy z Gardym sami.

Uśmiecha się i masuje nadgarstki, z których kilka godzin temu zdjęto kajdanki.

– Chyba nieźle. Nie wyspałem się. – Nie wziął też prysznica, bo się boi. Od czasu do czasu próbuje, ale strażnicy więzienni nie włączają mu ciepłej wody. Tak więc Gardy cuchnie nieświeżym potem i brudną pościelą; na szczęście siedzi daleko od ławy przysięgłych. Czarna farba powoli schodzi mu z włosów; z każdym dniem robią się jaśniejsze, tak samo jak jego skóra, która wydaje się coraz bledsza. Gardy zmienia kolory na oczach sędziów przysięgłych – kolejny dowód jego zwierzęcych zdolności i oddania szatanowi.

– Co się dziś stanie? – pyta z niemal dziecięcą ciekawością. Jego iloraz inteligencji wynosi 70 i ledwie wystarcza, żeby go skazać i uśmiercić.

– Obawiam się, że mniej więcej to samo, Gardy. Mniej więcej to samo.

– Możesz coś zrobić, żeby przestali kłamać?

– Nie, nie mogę.

Władze stanu nie mają żadnych dowodów rzeczowych, które łączyłyby Gardy'ego z morderstwami. Żadnych. Tak więc, zamiast dokonać oceny dowodów i ponownie rozpatrzyć sprawę, robią to, co zwykle w takiej sytuacji. Brną dalej w kłamstwa i podpierają się sfabrykowanymi dowodami.

Gardy spędził w sali rozpraw dwa tygodnie, wysłuchując

kłamstw, zamykając oczy i powoli kręcąc głową. Potrafi godzinami kręcić głową i przysięgli mają go za wariata. Mówiłem mu, żeby przestał, żeby usiadł prosto, wziął długopis i bazgrał coś w notatniku, jak ktoś, kto posiada mózg i chce walczyć, wygrać. On jednak nie chce tego robić, a ja nie mogę wykłócać się z klientem w sali sądowej. Powiedziałem mu też, żeby zasłonił ramiona i szyję, żeby ukryć tatuaże, ale dla niego są powodem do dumy. Powtarzałem, żeby zdjął kolczyki, lecz on twierdzi, że chce zostać sobą. Bystrzaki z więzienia w Milo zabraniają noszenia kolczyków, chyba że nazywasz się Gardy i właśnie wybierasz się do sali sądowej. W tym przypadku możesz je sobie zatrzymać. Wyglądaj tak upiornie i demonicznie, jak to tylko możliwe, Gardy, żeby nikt nie miał wątpliwości, że jesteś winny.

Na gwoździu wisi wieszak z tą samą białą koszulą i spodniami khaki, które wkłada codziennie. Zapłaciłem za ten tani zestaw z własnej kieszeni. Gardy powoli rozpina pomarańczowy więzienny kombinezon i staje obok mnie. Nie nosi bielizny. Zauważyłem to już pierwszego dnia procesu i od tamtej pory staram się ignorować. Ubiera się powoli.

– Tyle kłamstw – mówi.

Ma rację. Prokurator powołał do tej pory dziewiętnastu świadków i żaden z nich nie oparł się pokusie, żeby delikatnie podkoloryzować zeznania albo kłamać w żywe oczy. Anatomopatolog, który przeprowadzał obie autopsje w stanowym laboratorium kryminalistycznym, zeznał, że ofiary utonęły, ale dodał również, że pośrednią przyczyną utonięcia były „ciosy tępym narzędziem” zadane w głowę. Dla

prokuratora byłoby lepiej, gdyby ława przysięgłych uwierzyła, że dziewczynki zostały zgwałcone i pobite do nieprzytomności, zanim wrzucono je do stawu. Nie ma dowodów na to, że ofiary zostały wykorzystane seksualnie, ale oskarżyciel i tak włączył to do sprawy. Trzy godziny spierałem się z anatomopatologiem, ale trudno wykłócać się z ekspertem, nawet jeśli jest on niekompetentny.

Z braku dowodów prokuratura musiała je sfabrykować. Najbardziej obciążające zeznania złożył więzienny szpicel, którego słusznie nazywają Cwelem. Cwel to wytrawny kłamca, który w sali sądowej powie wszystko, czego zażąda od niego prokuratura. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zgarnięto Gardy'ego, Cwel wrócił do pierdla pod zarzutem posiadania narkotyków, za co groziło mu dziesięć lat. Gliniarze potrzebowali zeznań i, jak można się było spodziewać, koleś zaoferował im swoje usługi. Wtajemniczyli go w szczegóły morderstw, a następnie przewieźli Gardy'ego z więzienia okręgowego do więzienia hrabstwa, w którym siedział Cwel. Gardy nie miał pojęcia, dlaczego zostaje przeniesiony, tak jak nie wiedział, że pakuje się prosto w pułapkę (To było, zanim zostałem jego obrońcą). Zamknęli go w małej celi razem z Cwelem, który aż się palił do rozmów i pomocy. Twierdził, że nienawidzi gliniarzy i zna kilku dobrych prawników. Podobno czytał o morderstwie dziewczynek i miał przeczucie, że wie, kto to zrobił. A że Gardy nie wiedział nic o morderstwie, nie pozostało mu nic do dodania. Mimo to dwadzieścia cztery godziny później Cwel przysięgał, że słyszał, jak przyznaje się do winy. Gliniarze wyprowadzili go z celi i Gardy nie widział go aż

do procesu. Jako świadek Cwel prezentował się nienagannie w koszuli, która zakrywała tatuaże, pod krawatem i z ostrzyżonymi włosami. W najdrobniejszych szczegółach odtworzył opowieść Gardy'ego o tym, jak poszedł za dziewczynkami do lasu, zrzucił je z rowerów, zakneblował i związał, a następnie torturował, wykorzystał seksualnie, pobił i nieprzytomne wrzucił do stawu. W jego wersji Gardy był naćpany i słuchał heavy metalu.

To dopiero było przedstawienie! Wiedziałem, że to kłamstwo, tak jak wiedzieli o tym Gardy, Cwel, gliniarze i prokuratorzy. Podejrzewam nawet, że i sędzia miał pewne wątpliwości. A jednak przysięgli połknęli haczyk i z odrazą i nienawiścią patrzyli na mojego klienta, który zamknął oczy i kręcił głową – nie, nie, nie. Zeznania Cwela były tak makabryczne i szczegółowe, że czasami trudno było uwierzyć, że zmyśla. Nikt nie potrafi tak kłamać!

Maglowałem tę kanalię przez pełne osiem godzin. To był bardzo długi i bardzo męczący dzień. Sędzia okazywał rozdrażnienie, przysięgli mieli czerwone, zapuchnięte oczy, ale ja mogłem tak przez tydzień. Pytałem Cwela, ile razy zeznawał w procesach karnych. Odparł, że może dwa. Wyciągnąłem akta, odświeżyłem mu pamięć i wymieniłem dziewięć innych procesów, w których dokonywał podobnych cudów dla naszych uczciwych i bezstronnych prokuratorów. Kiedy okazało się, że odzyskał pamięć, zapytałem, ile razy prokuratura złagodziła mu wyrok po tym, jak kłamał dla nich w sądzie. Odparł, że nigdy, więc po raz kolejny musiałem przejrzeć akta dziewięciu spraw. Przedstawiłem dowody. Udowodniłem wszystkim, zwłaszcza ławnikom, że koleś to

kłamliwy donosiciel, który dostarcza fałszywych zeznań w zamian za złagodzenie wyroku.

Przyznaję – w sądzie często wpadam w złość, co działa na moją niekorzyść. Wkurzyłem się na Cwela i maglowałem go tak bezlitośnie, że niektórzy przysięgli zaczęli mu współczuć. W końcu sędzia kazał mi przejść dalej, ale ja wcale nie miałem takiego zamiaru. Nienawidzę kłamców, zwłaszcza takich, którzy przysięgają, że będą mówili całą prawdę i tylko prawdę, a później kłamią jak z nut, żeby pogrążyć mojego klienta. Krzyczałem na Cwela, a sędzia krzyczał na mnie i były chwile, kiedy wydawało się, że w sali sądowej wszyscy krzyczą. To nie pomogło Gardy'emu.

Można by sądzić, że prokurator przerwie tę paradę kłamstw i powoła choćby jednego wiarygodnego świadka, ale takie posunięcie wymagałoby inteligencji. I tak następnym świadkiem był kolejny osadzony – ćpun, który zeznał, że był na korytarzu pod celą Gardy'ego i słyszał, jak ten zwierza się Cwelowi.

Kolejne kłamstwa.

– Proszę, zrób coś, żeby przestali – mówi Gardy.

– Próbuję, Gardy. Robię, co mogę. Musimy iść.

3

Zastępca szeryfa prowadzi nas do sali sądowej, która, jak podczas całego procesu, jest pełna ludzi i wyczuwa się pełne napięcia wyczekiwanie. To dziesiąty dzień procesu i jestem przekonany, że poza tym w mieścinie nie dzieje się

absolutnie nic. Jesteśmy tu jedyną atrakcją! Sala rozpraw jest wypełniona po brzegi, ludzie stoją nawet pod ścianami. Dzięki Bogu, że na zewnątrz jest chłodno, bo utonęlibyśmy we własnym pocie.

Każdy proces o zabójstwo, za które grozi kara śmierci, wymaga obecności co najmniej dwóch adwokatów. Moim kolegą po fachu, albo „pomagierem", jest Trots – tępy, apatyczny chłopak, który powinien spalić dyplom prawnika i przekląć dzień, w którym zaczął marzyć o tym, żeby pokazać swoją twarz w sali sądowej. Pochodzi z małego miasta dwadzieścia kilometrów od Milo. Myślał, że to wystarczająco daleko, żeby uniknąć nieprzyjemności związanych z reprezentowaniem Gardy'ego. Zaproponował, że zajmie się czynnościami wstępnymi, licząc na to, że da nogę, kiedy dojdzie do procesu. Niestety, nie wszystko poszło po jego myśli. Zawalił czynności wstępne, tak jak może zawalić tylko nowicjusz, a następnie próbował się wykręcić. Nie da rady, powiedział sędzia. Trots pomyślał więc, że posiedzi obok mnie, nabędzie doświadczenia, poczuje atmosferę prawdziwego procesu i tak dalej, ale po tym, jak kilka razy grożono mu śmiercią, odpuścił. Grożenie śmiercią to dla mnie chleb powszedni, jak poranna kawa i kłamliwi gliniarze.

Składałem trzy wnioski o usunięcie Trotsa z sali rozpraw. Oczywiście wszystkie zostały odrzucone, tak więc Gardy i ja utknęliśmy przy jednym stole z kretynem, który bardziej nam szkodzi, niż pomaga. Trots siedzi najdalej, jak może, choć zważywszy na bijący od mojego klienta smród, wcale mu się nie dziwię.

Kilka miesięcy temu Gardy powiedział mi, że kiedy Trots przesłuchiwał go po raz pierwszy w więzieniu hrabstwa, był zszokowany, gdy Gardy wyznał, że jest niewinny. Nawet się o to pokłócili. To się nazywa żarliwy obrońca!

Tak więc Trots siedzi przy drugim końcu stołu z nosem w notatkach. Niczego nie widzi i niczego nie słyszy, ale czuje na sobie spojrzenia siedzących za nami ludzi, którzy nas nienawidzą i najchętniej powiesiliby mnie i jego razem z naszym klientem. Trots ma nadzieję, że kiedyś to minie i wraz z końcem procesu wróci do normalnego życia. Myli się. Zaraz po procesie napiszę skargę do sądu stanowego o to, że Trots „dopuścił się zaniedbań" zarówno przed procesem, jak i w trakcie niego. Robiłem to już i wiem, jak to udowodnić. Toczę własne wojny z palestrą i rozumiem, jak to działa. Kiedy skończę z Trotsem, sam będzie chciał zrezygnować z prawa do wykonywania zawodu i podjąć pracę w autokomisie.

Gardy siedzi pośrodku stołu. Trots nawet na niego nie patrzy, nie mówiąc o tym, żeby z nim rozmawiał.

Huver, prokurator, podchodzi do mnie i wręcza kartkę papieru. Nie mówimy sobie „Dzień dobry" ani nie wymieniamy uprzejmości. Jesteśmy od tego tak dalecy, że jakikolwiek cywilizowany pomruk byłby nie lada niespodzianką. Nienawidzę tego człowieka, a on nienawidzi mnie, ale mam w tej rozgrywce pewną przewagę. Niemal co miesiąc użeram się z zadufanymi w sobie prokuratorami, którzy kłamią, oszukują, unikają odpowiedzi, tuszują sprawy, pogwałcają zasady etyki i robią co w ich mocy, żeby doprowadzić do skazania, nawet jeśli znają prawdę, która

całkowicie mija się z tym, co chcą udowodnić. Znam ten gatunek, ten rodzaj prawników, którym wydaje się, że stoją ponad prawem, bo to oni je stanowią. Tymczasem Huver nieczęsto ma do czynienia z takimi jak ja, bo rzadko uczestniczy w głośnych procesach, a jeszcze rzadziej w takich, w których obrońcą oskarżonego jest pitbul. Gdyby częściej miał do czynienia z adwokatami mojego pokroju, może nienawidziłby nas z większą wprawą. Dla mnie to sposób życia.

Biorę kartkę i pytam:

– Kto jest twoim kłamcą dnia?

Nie odpowiada i wraca do swojego stołu, przy którym ubrani na czarno asystenci debatują nad czymś z wielką powagą, robiąc przedstawienie przed publicznością. To najważniejsze wydarzenie w ich marnych, zaściankowych karierach, i mam wrażenie, że wszyscy z biura prokuratora okręgowego, którzy potrafią chodzić, mówić, nosić tanie garnitury i nowe aktówki, zgromadzili się wokół tego stołu, żeby zapewnić triumf sprawiedliwości.

Woźny sądowy krzyczy, ja wstaję, do sali rozpraw wchodzi sędzia Kaufman. Potem siadamy. Gardy odmawia wstawania. Początkowo jego zachowanie irytowało Wysoki Sąd. W pierwszy dzień procesu – mam wrażenie, że od tej pory minęły miesiące – Kaufman warknął do mnie: „Panie Rudd, czy może pan poprosić swojego klienta o to, żeby wstał?”.

Zrobiłem, o co mnie prosił, jednak Gardy odmówił. Jego zachowanie na tyle zbulwersowało sędziego, że wrócił do tematu w swoim gabinecie. Zagroził, że ukarze mojego klienta i na cały dzień rozprawy pozostawi go w więzieniu.

Chciałem mu nawet przyklasnąć, ale wiedziałem, że taka nadmierna reakcja nie pozostałaby bez echa w trakcie apelacji.

Jak słusznie zauważył Gardy: „Co mogą mi zrobić, czego mi jeszcze nie zrobili?”.

I tak codziennie rano sędzia Kaufman rozpoczyna rozprawę, gromiąc wzrokiem mojego klienta, który zwykle siedzi zgarbiony na krześle i albo bawi się kolczykiem w nosie, albo leniwie kiwa głową. Nie potrafię powiedzieć, którym z nas, mną czy nim, Kaufman gardzi bardziej. Jak reszta mieszkańców Milo przez długi czas żył w przekonaniu, że Gardy jest winny. I jak wszyscy w sali sądowej nienawidzi mnie od dnia, kiedy się w niej pojawiłem.

To bez znaczenia. W tej branży człowiek rzadko zyskuje przyjaciół, ale szybko robi sobie wrogów.

Ponieważ, podobnie jak Huver, sędzia Kaufman w przyszłym roku będzie ubiegał się o reelekcję, rozciąga usta w sztucznym uśmiechu polityka, wita wszystkich w sali rozpraw i zapowiada kolejny ciekawy dzień pogoni za prawdą. Na podstawie obliczeń, których dokonałem kiedyś podczas lunchu, gdy w sali sądowej nie było żywej duszy, mam powody przypuszczać, że za moimi plecami siedzi jakieś trzysta dziesięć osób. Oprócz matki Gardy’ego i jego siostry, wszyscy modlą się o wyrok skazujący na śmierć i szybką egzekucję, a to zależy od sędziego Kaufmana. Sędziego, który zezwalał na składanie fałszywych zeznań. Czasami jednak sprawia wrażenie, jakby się bał, że jeśli podtrzyma któryś z moich sprzeciwów, straci kilka głosów.

Kiedy wszyscy są już na miejscach, do sali wchodzą sędziowie przysięgli. Na ławach tłoczy się czternaście osób

– wybrana dwunastka i dwoje zastępców, na wypadek gdyby ktoś się rozchorował albo zrobił coś złego. Nie są odizolowani (choć wnosiłem o to), tak więc co wieczór wracają do domów i wieszają psy na Gardym i na mnie. Codziennie po południu Wysoki Sąd ostrzega ich, żeby nie rozmawiali na temat procesu, ale jeszcze dobrze nie wyjdą z gmachu sądu, a już zaczynają paplać. Oni podjęli już decyzję. Gdyby głosowali teraz, zanim powołamy któregokolwiek ze świadków obrony, uznaliby Gardy'ego za winnego zarzucanych mu czynów i zażądali kary śmierci. Po wszystkim wróciliby do domów jako bohaterowie i do końca życia rozprawialiby o procesie. Kiedy mój klient dostanie zastrzyk, będą się szczycić rolą, jaką odegrali w walce o sprawiedliwość. Staną się gwiazdami Milo. Ludzie będą im gratulować, zatrzymywać na ulicach i rozpoznawać w kościele.

Kaufman wita ich, dziękuje za wypełnianie obowiązku obywatelskiego i pyta z powagą, czy ktokolwiek kontaktował się z nimi albo próbował wpłynąć na ich decyzję. Słysząc to pytanie, niektórzy zerkają w moją stronę, jakbym miał czas, siłę i był na tyle głupi, żeby przemykać ulicami Milo i tropić przysięgłych, żeby ich (1) przekupić, (2) zastraszyć, (3) błagać. Mimo potoku grzechów popełnionych przez drugą stronę, chodzą słuchy, że jestem jedynym kanciarzem w sali rozpraw. Prawda jest taka, że gdybym miał pieniądze, czas i personel, przekupiłbym lub zastraszył – albo zrobił jedno i drugie – każdego z przysięgłych. Kiedy państwo z jego nieograniczonymi środkami prowadzi nieuczciwą grę i oszukuje na każdym kroku, to te oszustwa są w pełni uzasadnione. Nie ma równych szans. Nie ma sprawiedliwości.